



# ZYGMUNT GLOGER.

Pierwsze Zebranie Ogólne Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego wykazało zupełną jednogomyślność przy wyborze Prezesa Towarzystwa, powołując na to stanowisko Zygmunta Glogera.

Źródłem tej jednogomyślności było głębokie przeświadczenie, że na ziemiach polskich niema człowieka, któryby zrobił więcej dla krajoznawstwa polskiego nad autora Encyklopedyi staropolskiej, zbieracza pieśni ludu, człowieka, który przez pół wieku czynem i piórem służył krajoznawstwu.

I oto dziś ta ziemia, którą On tak kochał, czcił z bałwochwalczym ubóstwieniem, ta ziemia zazdrośnie powołała Go do swego łona. Zamknęły się łagodne, dobrotliwe oczy, zastygł pełen pogody życziwy uśmiech na ustach.

Pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego legł w trumnę. Zerwała się szarpnięta nić Jego niezmordowanej pracy.

Ustał jak prawy rycerz, w bólach śmiertelnej choroby trwający jeszcze na stanowisku.



„Całe moje życie było ciężką pracą“, mówił czcigodny zmarły do swego spowiednika, „odchodzę spokojnie“. I rzeczywiście ogrom dokonanej przez ś.p. Zygmunta Glogera pracy jest zdumiewający. Zdaje się, że życia kilku ludzi trzebaby na wykonanie tych wielostronnych prac, do których zmarły przygotowywał się zawsze przez mozolne i drobiazgowo gromadzenie materiałów. Czerpał On je zarówno ze starych, pyłem wieków przypruszonych dokumentów, jak z tętniących życiem pieśni, podań i obyczajów ludu.

Późna noc czuwała nad Jego pracą, ranny świt witał Go przy robocie. Nie było dla Niego zbytnich odległości, nie było niewygód podróży. Nie straszły Go niespane noce, uciążliwe drogi, zawieruchy jesieni, czy gromy letnich burz. Odma-

wiał sobie momentów wypoczynku, zrzekał się zawsze swego ja, wierny sługa ukochanej idei.

Siły do tak mozolnej pracy czerpał ten zasłużony syn Ojczyzny w bezgranicznej miłości do ziemi rodzinnej. Było to fanatyczne uczucie, pochłaniające całą istotę duchową zmarłego. W każdym Jego postępkach, w każdym zdaniu, w każdym czynie, w każdej pracy bije silnym tętnem ta wielka, żywiłowa miłość, to ukochanie bez pamięci, bez zastrzeżeń uwielbianej Ojczyzny.

„Ziemia ta ojczysta jest złączona nierozdzielnie z prochami przodków naszych, zroszona kroplami ich znoju, krwią setnych pokoleń, i gdyby możliwym było w naturze odzielenie krwi pomarłego narodu od ziemi, to ze ściśniętej garści ziemi rodzinnej pociekłaby kropla tej samej krwi, która w nas krąży...” pisał czcigodny zmarły.

Żadna też matka nie była tak czczona, tak uwielbiana, jak była wielbiona ziemia rodzinna przez zmarłego, co według słów Orzeszkowej, „posiada ten lot myśli i to serdeczne ciepło, które zdradzają uczzonego, ukazując w nim poetę.”

Z zimnej krynicy niezmordowanej pracy i z płomiennego uczucia miłości Ojczyzny tworzyła się u ś. p. Zygmunta Glogera potężna siła i wytrwałość, których owocem jest Jego naukowy i literacki dorobek.

Już jako szesnastoletni chłopiec spisywał pieśni ludu w rodzinnych swych stronach tykocińskich, a z wiekiem rozwijały się coraz szerzej, coraz potężniej skrzydła Jego lotów.

Młody chłopiec z nad Narwi szerokim lotem i płomiennym sercem objął wszystkie ziemie polskie i wyrósł na dojrzałego męża, którego wzrok nie opuścił ani jednego zakątka świętej Ojcowizny.

Starał się zobaczyć osobiście każdy jej skrawek: „człowiek rozmoże w sobie miłość do ziemi rodzinnej, gdy pozna wszystkie okolice tej ziemi, i jej obszary w pamięci swej zachowa.” Te swoje słowa przez całe życie wprowadzał w czyn.

To też Jego prace stanowią niewyczerpaną skarbnicę krajoznawstwa polskiego: fizyografia, etnografia, archeologia, historia, historia sztuki, ekonomia, statystyka i wiele innych gałęzi nauki wzbogacone zostały przez mroźne prace zmarłego. A dokonywał tych prac

niezmordowanie i raz nakreślonych zamiarów nie zmieniał. „Tamta wycieczka moja po Wiśle nie powiodła się, ale że nie zwykłem w niepowodzeniu wykreślać zamiaru z programu rzeczy raz rozpoczętych, więc choć prawie w ćwierć wieku postanowiłem dawny ten zamysł uskutecznić”.

Nic może tak nie charakteryzuje ś. p. Glogera, jak to Jego zdanie, wyjęte z pracy „Dolinami rzek”.

Gdy więc zamiarem Jego było poznanie ziemi ojczystej, to od zamiaru tego przez całe życie na włos nie odstąpił, wszystkie siły ku uskutecznianiu tych zamiarów wyteżając. Dzięki też temu planowi pozostawił zmarły prace bardzo wielostronne: „O naszych stacyach krzemiennych”, „Osady z czasów użytku krzemienia nad Niemnem i na Podlasiu”, także „osady pod Sieniawą, Szczakową i Borkiem Fałęckim w Galicyi”, badał więc tereny bardzo rozmaite. Zostawił „Podróż Niemnem” i „Wycieczkę po Wiśle”, „W dolinie Biebrzy” i „Dziennik podróży po Bugu”. Zostawił pracę „Dawna ziemia Łomżyńska”, a obok „Wolyni i wykopaliska moszczanickie”, oraz „Białowieżę”. Pisał „O żubrze litewskim i turze mazowieckim”, zebrał 1000 pieśni ludowych, przysłowia ludu z okolic Tykocina, zagadki ludowe z nad Narwi i Bugu i wiele, wiele innych prac.

Kompletna bibliografia dzieł zmarłego wykazuje wielostronność Jego pracy, tu zwracamy uwagę tylko na objęcie w pracach całego obszaru ziem polskich.

Zostały też dwie wielkie prace rozpoczęte, a nieskończone; to: „Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce”, oraz „Słownik gwary polskiej i imion własnych w polskiej ziemi historycznej”. Korektę pierwszego ze wspomnianych dzieł robił ś. p. Gloger jeszcze w ostatniej swej chorobie, do drugiego zaś pozostawił przygotowanych 80.000 kartek z materiałami do zamierzonego słownika.

„Potrzeba mi jeszcze trzynaście lat życia, aby wykończyć zamierzone prace” mówił do nas nieboszczyk dwa lata temu. Zawzięty los jednakże nie dał się przebłagać, nić marzeń i planów musiała pęknąć, prace nie zostały ukończone, niestrudzony bojownik padł na stanowisku.

„Odchodzę spokojnie” mówił do spowie-

dnika. Wielki filozof życiowy tu się odezwał. Spokój cechował jego prace, spokój cechował jego życie. Nie patrzył nigdy na osobiste korzyści, szedł jak dobry siewca, który sypie hojnie ziarno w ziemię, nie wiedząc kto zeń korzystać będzie.

Czy pójdę drogą, czyli się zostanę,  
Siew rzucam na mą grzędę...  
Runieście kwiatem, wy ścieżki zawiane,  
Ku wiosnie, której ja już oglądać nie będę!  
Czy pójdę drogą, czyli się zostanę,  
Siew rzucam na mą grzędę  
Runieście kłosem, wy pola orane  
Na chleb, którego ja już pożywać nie będę!

I poszedł drogą ten dobry, zacny Siewca.  
Cześć Jego czystej, szlachetnej duszy, cześć

Ś. p. Zygmunt Gloger ujrzał światło dzienne d. 3 listopada 1845 w Kamionkach (w Augustowskiem) jako syn Jana i Michaliny z Wojnow. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Warszawie wstąpił do Szkoły Głównej, z której po upływie lat paru przeniósł się do Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie. Już wówczas cechowała go rozwijająca się coraz silniej namiętność, która później celem i treścią życia się stała, do zbierania pieśni, przysłów, bajek, wykopalisk, strojów ludowych, broni i ksiąg. Działalność swą naukową rozpoczęła w r. 1867 wydaniem „Obchodów weselnych” drukowanych w tłocznich uniwersytetu krakowskiego, pracy nietylko obszernej rozmiarami, ale prosto zdumiewającej ilością materiału, jaki młody, 22 letni uczoney zdążył zgromadzić. Szczupła tylko ilość egzemplarzy wydana była pod imieniem i nazwiskiem autora, na pozostałych figurował pseudonim Pruskiego (od herbu Prus). A poza tem aż do dnia ostatniego ciągnął się niewyczerpany szereg prac, czasem drobnych rozprawek i przyczynków, niekiedy dzieł, któreby człowiekowi mniej żelaznej pracowitości mogły życie wypełnić. Nie jest zgoła możliwe wymienić je w systematycznym zestawieniu już dzisiaj, samo bowiem zebranie rozproszonych po rozmaitych czasopismach i wydawnictwach okruców byłoby pracą nielada.

Jego nieskazitelnej prawości. Cześć Jego pracy niezmordowanej, cześć Jego bezgranicznemu umiłowaniu Ojczyzny.

Wielbiona przezeń Matka Ziemia tuli Jego zwłoki, wiatr wśród gałęzi powązkowskich drzew śpiewa kołysanki i pieśni żałobne, nie się powiewy z nad rodzinnej Narwi. Może przelotem spocznie nad mogiłą słowik z litewskiej dąbrowy i żałosny zanuci śpiew, bolesną nutę, jaka dziś jęczy w sercach osieroczonego Towarzystwa naszego.

U mogiły tego Wielkiego Syna Ojczyzny, Prawego Obywatela tej ziemi, ślub składamy wiecznej pamięci na Jego ideały, ukochania i prace, aby radością cieszyć tego pogodnego, pełnego miłości Ducha.

*Al. Janowski.*

Podjęcie się tej pracy, spłacenie tego długu wdzięczności wobec czcigodnego zmarłego, który nie tylko przewodniczył pracom naszego „ukochanego”, jak je sam w ostatnich godzinach nazywał, Towarzystwa ale i pisma naszego był stałym współpracownikiem i przyjacielem, uważać będziemy za święty swój obowiązek. Na razie wszakże poprzestać musimy na zaznaczeniu, że do ostatniego tchnienia ten niezmordowany pracownik nie wypuszczał ze słabnącej już ręki pióra, że jeszcze po dokonaniu przed kilkunastu dniami operacji zajmował się korektą „Budownictwa drzewnego”, którego tylko tom I i 3 dalsze zeszyty zdążył wydać przed śmiercią. Niewątpliwie w spadku rękopiśmiennym zmarłego znajdzie się jeszcze plon obfity i cenny, bądź jako wykończone już prace, bądź w postaci zebranego materiału. Do tej ostatniej kategorii należy przedewszystkiem nieoceniony pod względem wartości dla przyszłego pracownika zbiór nazw imion własnych polskich, którego potrzebę uzasadniał ś. p. Gloger w jednym z pierwszych numerów „Ziemi”, a który sięga olbrzymiej liczby kilkudziesięciu tysięcy nazw.

W tece naszej leży też zupełnie przygotowana do druku jedna z ostatnich prac zmarłego „Grody piastowskie”, którą w jednym z najbliższych numerów z czytelnikami się podzielimy.





# IDEE PRZEWODNIE

## □ □ □ ANTROPOGEOGRAFII

Częstokroć na szatę roślinną pewnego obszaru wpływają nietylko względy materialne człowieka, lecz i jego potrzeby duchowe. Religie nieraz przeistaczają świat roślinny danego kraju. Winnice np. marniały wszędzie, gdzie tylko rozległo się hasło trzeźwości wyznawców Mahometa. „Chrześcijaństwo odwrotnie, sprzyjał w miarę możliwości uprawie tej latorośli, chociażby dlatego, że potrzebował wina do obrzędów kościelnych. Cześć dla Ateny ściśle łączyła się z poświęconem tej bogini drzewem oliwkowym, razem z wiarą w Apolina odbyło podróż naokoło morza Śródziemnego drzewo laurowe“ (Kirchhof).

Nie wysnuwajmy jednak wniosków, że postęp cywilizacji zwalnia człowieka z zależności od macierzystej ziemi. „Jest nam coraz wygodniej na niej, czujemy się coraz szczęśliwsi z użytkowania jej dóbr i sił, lecz w każdym razie pozostanie ona zawsze głównym miernikiem i podstawą twórczości ludzkiej“.

Zależność człowieka od przyrody ujawnia się jak widzieliśmy nietylko w jego cechach fizycznych, lecz i życiu duchowym. Różnorodne środowiska z właściwymi sobie czynnikami wytwarzają wśród ludzkości rozmaite typy lub, jak chcą niektórzy uczeni, rasy. Lecz czy to weźmiemy trzy rasy podług Cuviera, czy pięć podług Blumenbacha, podział taki będzie sztuczny, ponieważ w każdej rasie znajdziemy narody, wykazujące pewne odchylenia, które nasuwają poważne wątpliwości pod względem należenia danego narodu do tej lub innej rasy. Aczkolwiek istnieją na kuli ziemskiej pewne okolice, gdzie cechy rasowe spotęgowane są do maximum, lecz zazwyczaj pomiędzy rasami widzimy formy przejściowe. Stąd wypływa wniosek, do którego prowadzą nas wszystkie usiłowania ustalenia różnicy między rasami, że chociaż dość łatwo rozróżnić ważniejsze grupy ludzkości, lecz wykreślić między nimi ścisłych granic niepodobna. Pozostaje więc tylko

antropogeografii wskazać raczej stopniowe przejścia i wewnętrzną łączność tych ogniw ludzkości. Zresztą, czyż może być mowa o czystości ras wobec ich krzyżowania się i wędrówek narodów. Ruchliwość stanowi istotną cechę w życiu narodów, właściwą nawet najbardziej spokojnym z pomiędzy nich na pierwszy rzut oka. Oczywiście, pod ruchliwością należy rozumieć nietylko przesiedlanie się człowieka, lecz i jego wszystkie zdolności i skłonności, jak fizyczne tak i duchowe, które w dalszym ciągu rozwoju uczyniły handel w najszerszym znaczeniu tego słowa jedną z najpotężniejszych dźwigni kultury. Niema ani jednej krainy zamieszkałej przez jakiś naród, która by pozostawała wciąż bez zmiany; mimowoli więc nasuwa się pytanie, jak ona powstała i jak rozwijała się. Żaden naród nie odpowiada mitologicznym wymaganiom, aby kraina, którą posiada, była zarazem miejscem jego narodzin. Wszystkimi wędrówkami i przesiedleniami rządzi ziemia ze swoją nieskończoną różnorodnością położenia, ukształtowania powierzchni, nawodnienia, flory i fauny; ona to stawia przeszkody lub współdziała, zatrzymuje lub przyspiesza je, rozdrabnia lub łączy wędrujące masy. Badając podobne zjawiska antropogeografia styka się z historią; lecz historia przedewszystkiem ma na względzie ludzkość i przez nią dopiero dochodzi do ziemi, gdy tymczasem antropogeografia widzi we wszystkich tych zjawiskach przedewszystkiem ziemię, której wpływ jakby przeziera przez nie.

Z punktu widzenia przyrodniczego ludzkość cała tworzy jeden tylko gatunek, wszelkie zaś rasy i typy należy odnieść do kategorii podgatunków i odmian. „Różnice między murzynem, indyaninem, kaukazczykiem i t. d., powiada Kolman, nie są tak znaczne, aby wyodrębnić każdą z tych form w od-



dzielny gatunek. Pocóż więc przypuszczać tak różnorodny posiew rozmaitych gatunków. których istnienia nie można dowieść? Po- głądy Kollmana podziela Virchow i von Ber.

Częstokroć jednak dają się słyszeć głosy o niższości tej lub innej rasy, tego lub innego narodu. Podczas wojny północnych stanów z południowymi w Ameryce Półn. kwestya podziału ludzkości na gatunki zyskała znaczenie praktyczno-polityczne. Wygłaszano wówczas zdania, że w stosunku do murzyna europejczyk nie może mieć żadnych zobowiązań, ponieważ murzyn należy do innego, gorszego gatunku ludzkości.

Lecz i dziś niestety stosunki pod tym względem nie zmieniły się na lepsze. Murzyn widzi w białym swego wroga, biały ze swej strony uważa murzyna za niższego od siebie.

„Subtelność badań, powiada Ratzel w tych razach, gdy chodzi o wykazanie przynależności do jakiejś rasy, graniczy wprost ze śmiesznością. Np. żółtawy odcień w białku oka, ledwie dostrzegalne czerwono-brunatne zabarwienie w kształcie półksiężyca u nasady paznogcia jest nieraz wystarczającym dowodem domieszki krwi murzyńskiej. Są ludzie, którym się zdaje, że czują po zapachu tę lub inną rasę. Im bardziej rozprze- strzeniają się narody i państwa, tem częściej

daje się zauważyć kolizya ras, plemion i narodów.

Do zjawisk właściwych życiu ludzkości należy i to, że różnice rasowe nie mogą w spokoju i zgodzie istnieć obok siebie. Skóra biała wypiera czerwoną, włosy proste wypowiadają wojnę kędzierzawym. Nie różnice jednak fizyczne dążą do wzajemnego rugowania i nie taki lub inny stopień umysłowości, lecz przede wszystkim jakaś nienawiść do wszystkiego, co jest obce; dopiero później starają się usprawiedliwić taką nienawiść jakąkolwiek teorią o mniejszych zdolnościach umysłowych, o niższej kulturze rasy pogłębionej“.

Niestety, zbyt często zapominają ludzie o tem, że są dziećmi jednej matki-ziemi!

*Cz. Statkiewicz.*

#### Literatura:

- Ratzel.* Antropogeographie T. I i II.  
„ Ziemia i życie T. II.  
„ Ludoznawstwo T. II.  
*Ranke.* Człowiek T. II.  
*Reclus.* La terre T. II.  
„ Ziemia i człowiek T. I.  
*W. Nałkowski.* Ziemia i człowiek.  
„ Historia ogólnej nauki o ziemi.  
(Poradnik dla samouków, cz. II).  
*A. Kirchof.* Człowiek i Ziemia.



## Zasady organizacyi muzeów krajoznawczych.

Gromadzenie okazów naukowych i tworzenie muzeów krajoznawczych jest jednym z ważniejszych zadań naszego Towarzystwa krajoznawczego.

Zapoczątkowana w tym kierunku działalność w Warszawie, jak i na prowincyi, stając się coraz bardziej aktualną, wymaga szerszego omówienia z tego względu, iż nie jest planowa i zaczyna przybierać przeważnie kierunek jednostronny.

Niedawno miałem możność zaznaczyć na łamach „Ziemi“ (Nr. 7) w artykule „O po-

głębieniu ruchu krajoznawczego u nas,“ iż rozwinęty przed kilkoma laty ruch na polu krajoznawstwa w Królestwie jest powierzchowny, nosi cechy wyłącznie uczuciowe i jest do pewnego stopnia jednostronny. Przybrał on charakter etnograficzny, archeologiczny, artystyczny i może do pewnego stopnia przyrodniczy; natomiast zupełnie nie uwzględnia on społecznych warunków życia i otoczenia, oraz stosunków ekonomicznych naszego kraju. Jesteśmy dotąd naogół dość dalecy od naukowego traktowania, wiedzy o kraju.



Krajoznawstwo, jak każda inna nauka, zdążyć i zdążyć musi przede wszystkim do zrozumienia i wytłumaczenia zjawisk. Zrozumienie zaś zjawisk daje nam możliwość następnie oddziaływania na te zjawiska. W ten sposób wiedza teoretyczna znajduje zastosowanie w życiu praktycznym.

Krajoznawstwo poza teoretycznym ma dla nas wielkie praktyczne znaczenie i może dlatego pociąga do siebie szerszy ogół.

„Naszym czynom jako narodowi, mówi J. Milewski w swem cennem dziele „Zagadnienie narodowej polityki (Lwów 1909),“ potrzeba podkładu dokładnego poznania naszych warunków, stosunków, zasobów, objawów dążności i sił.“ To dać może w znacznej części krajoznawstwo, i o tem pamiętać powinniśmy przy wszelkiej pracy i działalności na polu krajoznawstwa, jeżeli chcemy osiągnąć pożądane rezultaty. W wielkim stopniu dotyczy to także i organizacji muzeów krajoznawczych.

Przy zakładaniu i prowadzeniu muzeów musimy sobie jasno zdawać sprawę do czego mamy dążyć i jaki cel osiągnąć?

Muzeum krajoznawcze, jak każde inne muzeum, ma za zadanie gromadzenie i przechowywanie okazów naukowej wartości ze swojego zakresu, oraz udostępnianie ich ogółowi w celu pogłębienia i rozpowszechnienia wiedzy krajoznawczej.

Wychodząc z określenia istoty wiedzy o kraju: bądź jako możliwie pełnego zbioru faktów, dotyczących się danego kraju, według W. Nałkowskiego, bądź też jako nauki o całym kompleksie zjawisk krajoznawczych, według L. Sawickiego, musi uznać każdy, iż muzeum powinno mieć za zadanie gromadzenie możliwie pełnego zbioru okazów, dotyczących całego obszaru kraju, lub też poszczególnej krainy.

Pierwsze wchodzi w zakres muzeum głównego stołecznego, ostatnie w zakres muzeów prowincjonalnych. Lecz i one muszą obejmować chociaż w ogólnych zarysach kraj cały, albowiem nie sposób traktować poszczególnej krainy w oderwaniu od całego kraju, z którym łączą ją tysiączne nici.

W muzeach więc naszych znaleźć się powinny wszelkie okazy dotyczące ziemi, wraz z przyrodą martwą i żywą, oraz okazy od-

noszące się do jej mieszkańców obecnych i dawniejszych.

Człowiek jest jednym z ważniejszych ogniw w całym kompleksie zjawisk krajoznawczych. Dlatego też działalność człowieka, jego związek z terenem i współzależność zjawisk ekonomicznych i społecznych od kraju lub poszczególnej krainy zasługują na większe niż dotąd uwzględnienie w muzeach krajoznawczych. Głównie bowiem ze względu na współzależność człowieka od ziemi krajoznawstwo ma dla nas doniosłe znaczenie.

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę to wszystko, co powiedzieliśmy wyżej, to musimy przyjść do wniosku, że muzea krajoznawcze, o ile mają osiągnąć zamierzony cel, muszą być prowadzone według należyście opracowanego planu. Powinien być on mniej więcej taki sam, jak i przy badaniach i opisach krajoznawczych, bo zarówno zbiory, jak i opis zmierzają do jednego celu zobrazowania kraju: pierwsze przy pomocy okazów, ostatni na papierze.

Wobec tego przy organizowaniu muzeów naszych posłkować się możemy szkicem programu badań krajoznawczych, podanym przez d-ra L. Sawickiego w Nr. 1-szym „Ziemi.“

Zbiory muzealne w głównych zarysach obejmować powinny mniej więcej następujące grupy okazów.

Idąc w ślad za podanym programem wypadnie wymienić, jako pierwszą grupę okazy dotyczące położenia kraju lub poszczególnych krain, a więc: wszelkie mapy, rysunki i fotografie poszczególnych miejscowości. Osobliwie pożądane byłoby gromadzenie obrazów stereoskopowych, dotyczących ważniejszych i ciekawszych miejscowości. W przyszłości stać się one mogą jednym z najłatwiejszych sposobów szerzenia znajomości kraju wśród szerszych warstw.

Może bowiem doczekamy się powstania w każdym większym mieście stałej panoramy stereoskopowej w rodzaju warszawskiej „Terry“, tylko z widokami rozmaitych okolic naszego kraju.

Ze względu na to, że mapy zwykłe niezawsze są dostatecznie poglądowe, znaleźć się powinny w muzeach mapy plastyczne i modele.

Następną grupą będą okazy minera-

logiczno-geologiczne i paleontologiczne.

Umiejętne ułożenie i ożywienie tych zbiorów jest rzeczą niezmiernie ważną, albowiem oglądanie ich uchodzi wśród ogółu za rzecz nudną i mało zajmującą.

W tym celu należałoby wzorować się na muzeum Tatrzańskim, ułożonem przez geologa Limanowskiego, który zaopatrzył zbiór geologiczny w kartki i objaśnienia, zapoznając w ten sposób z historią Tatr od najdawniejszych czasów do chwili obecnej. Kto nie zna zbiorów tatrzańskich, zapoznać się może z ich ułożeniem według artykułu B. Dyakowskiego „Muzeum Tatrzańskie. Dział przyrodniczy.“ (Przegląd Zakopiański r. 1901).

Przy kolekcjonowaniu zbiorów geologicznych musi być zwrócona uwaga na gromadzenie rysunków przekrojów, kopalń i studzien artezyjskich. Te ostatnie najlepiej przedstawiać w sposób poglądowy za pomocą słojów wypełnionych warstwami wydobytemi podczas wierceń.

W każdym muzeum znaleźć się powinna mapa geologiczna ziem polskich naprz. mapa Siemiradzkiego i Dunikowskiego (Przegląd Fizyograficzny t. X), oraz mapy geologiczne poszczególnych miejscowości. W dziale geologicznym należy także gromadzić fotografie i rysunki, dotyczące kamieniołomów, urwistych brzegów rzek, parowów, cegielni, przekopów dróg żelaznych i t. p.

Następny dział muzeum stanowić będą okazy dotyczące hydrografii.

Tu może być gromadzone wszystko to, co w pewnym stopniu przyczynia się do zobrazowania stanu wód wewnętrznych, a więc: mapy, rysunki, fotografie, obrazy graficzne, wahania poziomu wody w rzekach i jeziorach, flora i fauna, obrazy dotyczące powodzi i zniszczeń spowodowanych przez wodę.

Dalej w muzeach powinno być udzielone odpowiednie miejsce klimatologii ze względu na jej doniosłe znaczenie dla człowieka. Przedewszystkiem należy mieć w każdym zbiorze mapę klimatyczną ziem polskich, opracowaną bądź na podstawie materiałów zawartych w Pamiętniku Fizyograficznym, bądź też na podstawie klimatologicznego Atlasu Imperyum Rosyjskiego, wyd. przez Nikołajewsk. Obserwatorium Meteorol. Szczegółowe dane dotyczące zjawisk meteorologicznych muszą być gromadzone w możliwie większej ilości i przedstawiane w postaci odpowiednich tablic graficznych; wzory znaleźć można w Pamiętniku Fizyograficznym. Pożądane jest bardzo, aby przy każdym muzeum lub w pobliżu jego była stacya meteorologiczna, co dawałoby możliwość zwiedzającym zapoznania się z urządzeniem i sposobami prowadzenia obserwacji.

W dziale klimatycznym również może być umieszczony poglądowy kalendarz fenologiczny.

d. n.

Dr. Al. Maciesza.



## Ligawki żmudzkie.

Zrzadka wprawdzie, ale jeszcze da się odnaleźć na Żmudzi ligawki czyli trąby drewniane (*trimytas*).

Na dołączonym rysunku są zawieszony cztery takie ligawki, wszystkie z okolic pomiędzy Dątnowem a Betygołą. Dwie z nich są skrzycone, dwie doskonale proste. Długość pierwszej skrzyconej (zawieszonyj od strony lewej) wynosi 51,5 cm. w linii prostej od jednego końca do drugiego wzdłuż cięciwy; długość drugiej, ze strony prawej 79 cm. wzdłuż zgięcia, a wzdłuż cięciwy zaś 75,5 cm. Co zaś do ligawek prostych, krótsza ma

1,54 metr., druga jest nieco dłuższa. Otwór, który bywa do ust przykładany, ma w średnicy u trzech około 2 cm., u czwartej 2,5 cm.; natomiast otwór górny dosięga od 6 do 9 cm. w średnicy swojej. Wszystkie są zrobione z deseczek wązkich, które odpowiednio złożony są poobwijane wązkami pa-skami kory brzozywej.

Jedną z tych ligawek mam u siebie. Nabyłem ją u pastuszka w okolicy Wajsbuciów w pobliżu majątku Poszuszwia. Inne pochodzą ze zbioru p. Zaborskiego. Jakkolwiek corocznie przypada mi zrobić kilkadziesiąt wiorst wzdłuż i wszerz Żmudzi,



jest to jedyny wypadek, iż spostrzegłem ligawkę w użyciu, a z trudnością znalazłem osób kilka, które umiały na niej wygrywać. Należy więc do zwyczajów zanikających. Opowiadano mi, iż pasterze w miasteczkach zwoływali niegdyś krowy za pomocą tych trąb, a te były tak do dźwięków li-

gawki przyzwyczajone, że dosłyszawszy je wychodziły z podwórzy i zbliżały się same. W Poniewieskiem używano ligawek przed rozpaleniem sobótek do zwołania na miejsce zborne.

Udało mi się także we wsi Skomontach pod Szwieksznianami nad granicą pruską zapisać podanie, w którym jest mowa o ligawkach.

Przytaczam je w całości, chociaż samo opowiadanie nosi na sobie piętno wpływów wywartych przez czytanie książki Dowkonta o przeszłości litewskiej.

Dawniej mieszkali w naszej okolicy poganie, a nazywali się Jurgotyczanami (Jurgotčiai). Na modły chodzili oni na górę, a każdy niósł ze sobą po worku ziemi na ofiarę i sypał ją na tę górę, palili tam kłody i drwa dębowe. Ksiądz jurgotyczański ciągle siedział przy ognisku, a jeśli ono zgasło, lud takie zdarzenie uważał za wróżbę złą i mówił, że wiara zgasła. Wartownicy tacy przy świętem ognisku wciąż się zmieniali. Na wyprawy lud ten zwoływał się za pomocą trąb drewnianych, trębacz chodził po wiosce wtedy i trąbił, a kto z mężczyzn nie szedł, tego zabijali. Gdy ktoś umarł, przez tydzień go nie chowano, jeno w ciągu całego tego czasu obchodzono się z nim przy stole jak gdyby żył jeszcze, potem na łóżku wynoszono, obwijano łóżko i trupa w słomę i palono. Podczas chowania prochów urządzano wielkie wyicia: łyzy zbierano do żalników, popioły do garnka i oba naczynia grzebano w jamie, głębokiej na pół wzrostu człowieka, jama zaś na dnie swoim była brukowana w sposób naśladowujący koło od wozu i szprychy.

*Ludwik Krzywicki.*



## O zamkach polsko-inflanckich.

6

Zamek ten słabo broniony podczas szwedzko-polskiej wojny (1656—1660 r.), zajęty został przez Szwedów, którzy zburzyli szańce, a zamek podległ z czasem zniszczeniu.

Pomiędzy zebranymi przez Uhlanda pieśniami gminnymi jest jedna, opiewająca zdarzenie, co miało nastąpić w zamku rzezyckim <sup>1)</sup>.

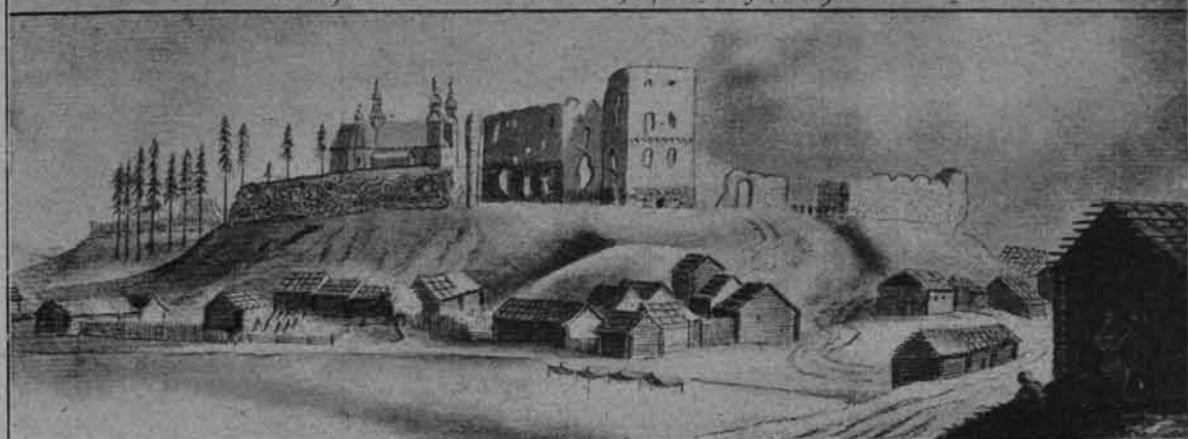
Traktat oliwski z r. 1660, wspomina o przyłączeniu do Polski między innymi także wójtostwa rzezyckiego, które pod nazwą „traktu rzezyckiego” figuruje w dokumentach pomiędzy 1660 i 1772 r. W taryfie z r. 1667 czytamy naprzykład, że z traktu rzezyckiego ma się pobierać hiberny 4200 złotych, a na podwoły 20 złotych.

W r. 1772 zamek i starostwo rzezyckie wraz z Inflantami polskimi i Białą Rusią, dostało się

<sup>1)</sup> Ob. Uhland „Volklied“ Stuttgart i Tybinga, wydanie z roku 1844, str. 943—946.



*Prospect du Quinca des Schloßes Lutzen 1797.*



LUCYN W XVIII W.

*Fig. rys. z natury J. K. Brotzko.*

pod panowanie Rosji przy pierwszym podziale Rzpltej.

#### IV.

Obok powiatowego miasta Lucyna w Inflantach polskich, stoją na wzniesieniu, w znacznej części dobrze jeszcze zachowane zwaliska rycerskiego zamku, wzniesionego w roku 1399 przez landmistrza inflanckiego Wannevasa de Bruggenoie nad jeziorem Łużą, obecnie zwykle jeziorem lucyńskim nazywanem.

Rozwaliska tego niegdyś obronnego zamku sterczą na wysokim murawą pokrytem wzgórz, otoczonem ziemnymi wałami. Sędziwa ich postać, barwa ciemno-czerwonej cegły a położenie wyniosłe, obok czystych wód jeziora, stanowią razem obraz nader zajmujący.

Miejsce to przez 260 lat wiele cierpiało od najazdów. Sądząc z miejscowości, śmiało twierdzić można, że większa część starego miasta Lucyna znajdowała się na wzniesieniu, leżącym na południowo-zachodnim brzegu jeziora, a na południe od dawnego zamku; zwaliska te dowodzą, że znajdowały się w nim baszty ze strzelnicami broniącymi i miasta czyli „posady zamkowej”.

Dawniej było zwyczajem osiedlać się w niedostępnych miejscach. Regularnie i stromo skopa-

ne pochyłości wzgórz, pomimo że uległy zmianom skutkiem czasu i deszczów, wykopane pomiędzy nimi fosy i rowy, jakich ślady dotąd ocalały, służyć mogą za dowód przekonywający, że te miejsca były zaludnione i obwarowane w celu obrony od nagłych napadów wroga.

Północno-wschodnia część zamku ma długości 65, północna 57, zachodnia 27 a południowa 60 sążni. W ostatniej widać ślady bramy wjazdowej ze zwodzonym na fosie mostem. Druga wjazdowa brama znajdowała się w stronie północnej; ruiny jednej i drugiej ocalały dotąd.

Na drodze wiodącej z zamku do jeziora istniała również brama, ta wszakże służyć mogła tylko do przywożenia wody.

W czasie ciężkiej wojny, którą w roku 1559 zakon rycersko-inflancki z Moskwą zniewolony był prowadzić, a w której Polska bardzo mu była pomocna, zamek lucyński wraz z okręgiem Rzeżycą (districtus Rositensis) i innymi warownymi grodami tej części kraju, za mogące wypaść koszta wojenne Zygmuntovi Augustowi na prawie zastawnem w posiadłość został oddany. W lat kilka później stanowił już integralną część tak zwanego województwa inflanckiego i zostawał spokojnie w rękach polskich do roku 1577, w którym to czasie Iwan Groźny wtargnął do Inflant i pomiędzy innymi opanował także zamek lucyński.

Po kilku wszakże latach był zmuszony wrócić go Polsce. Król Stefan Batory, idąc na wyprawę moskiewską, stanął etapem w Lucynie. Kwaterę obrał w zamku na drugim piętrze, orszak zaś jego mieścił się na trzecim. Król znalazł ten zamek graniczny nader pożytecznym. Posadę zamkową przenieść rozkazał na inne miejsce (na którym roz-tacza się dzisiejsze miasto powiatowe Lucyn) a garnizon zamkowy postanowił znacznie zasilić i podnieść do tysiąca żołnierzy.



LUCYN (część wewnętrzna - Ze słynnego unikatku J. K. Brotzko).

Przy zawarciu traktatu zapolskiego 1582 r. znajdowało się tutaj dział 5, falkonetów 2, berzów żelaznych 2, a hakownic 44 <sup>1)</sup>.

Posiadamy ciekawy dokument, lustracyę zamku lucyńskiego w 17 lat po zawarciu pokoju zapolskiego sporządzoną <sup>2)</sup>.

Wykazuje jasno owa lustracya, że w r. 1599 zamek ten pograniczny posiadał jeszcze mniej broń niż w roku 1582.

Ustęp „Possaada pod Zamkiem“, zajmujący parę kart in folio, niemniej jasno wykazuje jak niepośpiesznie odbudowywało się to podzamcze, w ciągu swego kilkunastoletniego istnienia tylokrotnie burzone, a z rozkazu króla Stefana Batorego ostatecznie na inne miejsce przeniesione. „Za Pana Starosty teraźniejszego—czytamy tam—poczęło zasiadać na tem nowem miejscu nieco mieszkańców y iuż jest chałup 24. Każda z nich ma mieć placu wszere i wzdłuż po 10 sążni, ogródy także dla nich mają wymierzone za Zamkiem nad Jezio-rem, y drudzy także i t. d.“.

„Pola także puścił im Pan Starosta—czytamy w innem miejscu lustracyi—za zamkiem ku Nerzy aż do granicy inflanckiej. Jeszcze nic nie płacą. Mieli od pp. Commissarzów Króla Iemci in Anno 1590 wolności pozwoloney do lat dziewięci, która im iuż expiruje, o których IPan Starosta świadectwo dawał, iż niemal wszyscy Ludzie służyli i prosił abyśmy im tey wolności ieszcze do lat kilku prorogowali. Co my bacząc rzecz słuszną y temu Zamkowi potrzebną, pomknęliśmy im ieszcze tych wolności, za któremi od wszelkich Podatków tak Rzpłtey iako y Zamkowych wolni bydź mają do pięci lat; z tą iednak powinnością, yako y pierwey. Naprzód, aby każdy z nich miał Rusnicę dobrą y Szablę, Prochu y Kul według potrzeby. Z którą Bronią przeciwko każdemu nieprzyjacielowi Króla Iemci y Rzpłtey albo też na każdą trwo-gę Zamkową, gdyby byli przez Urząd Zamkowy

obwieszczeni, w Zamku stawić się mają. Do tego nie czyię inną Jurisdiction ieno Zamkową na sobie ponosić mają“.

Pomijam ustępy obszerne o „folwarkach zamkowych“, o „pustowszczyznach“, ustęp p. t. „Porth“ (czyli komunikacye) i zatrzymuję się przy „Puszczach zamkowych“. Tych jest wielki dostatek, powiada lustracya—„mnóstwo drzewa rozmaitego do Budowania godnego, w których Zwierz rozmaity, Łoś, Niedźwiedź, Ryś, Świnia (dzik), Sarna, Kuna, Bobr, czego wszystkiego po trosze w zimie dostają. Towary leśne, aczby być mogły, jednak ich nie sprawują, iż Porthu niemasz“.

Jezior w obrębie zamkowym liczono w r. 1599 aż 60. Najznaczniejsze z nich mają „wzdłuż milę, wszere  $\frac{1}{4}$  do  $\frac{1}{2}$  milii“.

W czasie następnego stulecia, narażony był zamek lucyński niejednokrotnie na napady Szwecyi i Moskwy <sup>1)</sup>.

Podczas prowadzonej na początku XVIII stulecia wielkiej wojny północnej zajęty został ten zamek przez Szwedów. Zburzone przez nich szan-ce nie były już więcej odnawiane. Zamek zamienił się na malowniczą ruinę, a i leżące u podzamcza miasteczko niemal całkowicie zniszczone zostało.

Przy rozbiórce Polski 1772 r., jako składowa część księstwa inflanckiego, zamek Lucyn i ziemie zamkowe razem z Białorusią dostały się do Rosyi.

## V.

Zamek Maryenhaus, położony na wyspie jeziora Maryenhauskiego w północnym krańcu dawnego księstwa inflanckiego, założył w r. 1263 Jan II de Vechte, trzeci z rzędu arcybiskup ryski.

Był to zrazu tylko klasztor warowny „Klo-

<sup>1)</sup> Metr. Lit.

<sup>2)</sup> Ob. „Lustracya Anni 1599 Zamku Lucyńskiego z księgi Rewizorskiej Inflantskiej Anni 1599 w Skarbcu Koronnym znajdujący się wypisana i w Warszawie 30 stycznia 1748 roku wydana za podpisem Kicińskiego i odcisnięciem pieczęci Karola Józefa Odrowąza“, sznurową pieczęcią wielkich rozmiarów opatrzoną, okoloną napisem: „Carolus Josephus Odrowąz S. R. M. Supremus Regni Thesaur.“ Egzemplarz ten w archiwum domowym ostatniego starosty lucyńskiego, Józefa Borchy, Kanclerzyca Koronnego, niegdyś starannie przechowywany, stanowi obecnie własność Władysława Sołtana, dziedzica Prezmy w powiecie rzeżyckim i w przemiańskim archiwum rodziny jest przechowywany. Kopię autentyczną z egzemplarza przemiańskiego sprawiłem do własnego archiwum i mam ją w tej chwili przed sobą.

<sup>1)</sup> Do ciekawszych dokumentów z tej epoki zaliczamy rękopis in folio w archiwum naszym rodzinnem 23 strony obejmujący, a którego tytuł: „Inwentarz spisany ziem zamkowych y podanie Zamku Lucyna przezmnie Bruna Kronika Faktora J. K. Mości a nayniższego sługę Wielm. Imć Pana a Pana moiego Geerharda Denhoffa Woiewody Pomorskiego, Malborskiego, Felińskiego, Lucyńskiego etc. etc. Starosty, Imci Panu Mikołajowi Żardanowi po odebraniu Zamku Lucyna y wszystkiey Włości od Wielm. Imć Pan Geerharda Manteyfla Seya (Gerhard von Manteuffel genannt Soyie) Anni 1646 mense Decembris, die 18-ma“. Rękopis ten szczegółowy wylicza mieszkańców podzamcza, co osiedlił w r. 1636, tych co się osiedlili w latach 1642 i 43 a nakoniec i tych co tu zamieszkał w r. 1646 i opisuje ich powinności. Lecz już nie długo podtrzymywano „budowania“ tego, jak widzieliśmy, nader słabo bronionego kresowego zamku.

ster zu Mariahaus", lecz następcy założyciela już w pierwszej ćwierci XVI stulecia przebudowali ów klasztor na pograniczny zamek obronny.

Wilhelm brandenburski, ostatni arcybiskup rycki, zgodnie z ostatnim landmistrzem inflanckim Gotardem Kettlerem oddali całe związkowe państwo inflanckie pod opiekę króla polskiego Zygmunta Augusta w r. 1559, a z niem i zamki Marynhaus, Lucyn, Rzeżycę i Dynembork, naprzód jako zastaw za koszty wojenne, następnie w roku 1562 jako część posiadłości Rzpltey.

W r. 1569 oblegała Moskwa obronny zamek Marynhaus. Osadę zamkową składali w tej porze wyłącznie Litwini, którymi dowodzili dzielnicy bracia Jan i Aleksander Połubińscy.

Litwini nie tylko zmusili oblegających do ucieczki, ale popędzili za nimi daleko, aż do Izborki

ską i wzięli to miasto szturmem. Tam zabrali w niewolę wielu ludzi a nawet samego wodza Naszczukina. W roku 1577 Moskwa powtórnie napadła na zamek Maryi czyli Marynhaus i uprowadziła mieszkańców w niewolę. Ale za bohaterskiego króla Stefana Polska odzyskała ten zamek już w r. 1582, w którym to czasie warowny Marynhaus posiadał już tylko 7 dział, 8 hakownic i 2 moździerze.

Król rozkazał zamek umocnić na nowo i oddać został on siedzibą starostów marynhauskich. O dziejach tego olbrzymiego starostwa, liczącego przeszło 163,776 dziesięcin obszaru, rozpisywaliśmy się w rozprawie p. t. „Z dziejów starostwa Marynhauskiego” pisanej dla „Kwartalnika Litewskiego”.

(c. d. n.).

*Gustaw Manteuffel.*

## Sven Hedin w Tybecie.

16)

Po kilku pierwszych dniach uroczystości i audyencji nastąpił dopiero okres swobodniejszego żywania się z wewnętrznym życiem klasztoru. Codziennie wczesnym rankiem stawał Sven Hedin u bram klasztoru, w ciemnych i mistycznych głębiach którego przechodził mu dzień cały do póź-

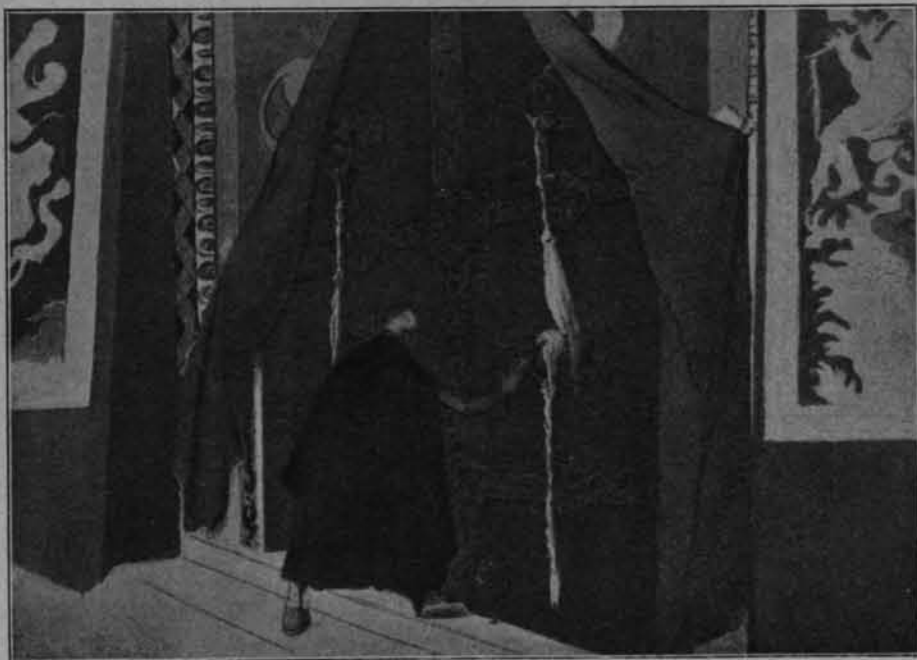
nego nieraz wieczoru. Że zaś życie, któremu się tutaj przyglądał, było od wszystkiego, cokolwiekby na szerokim świecie mógł zobaczyć, całkiem odmienne, że oprócz głębokiej, wiekami ustalonej treści, miało i formy pełne nieporównanej malowniczości, przeto każdy z tych 47-miu dni, które

w Szigatse spędził, był bogaty w nowe, nieraz dna duszy sięgające wrażenia.


Przedewszystkiem niemałego czasu było potrzeba, żeby się w tym ogromie rzeczy nowych i z niczem innem na europejską miarę biorąc niewspółmiernych połączyć.

Taszy - lunpo jest klasztorem, ale ten klasztor jest całym miastem, jest całym w sobie zamkniętym światem.

Jak już wyżej wspomniano, liczba mnichów dochodzi w nim olbrzymiej, niewiarogodnej poprostu



WEJŚCIE DO GROBOWCA TASZY-LAMY.



cyfry — 3,800; ale w czasie uroczystości noworocznych, kiedy ze wszystkich krańców świata lamaistycznego ściągają doń wierni i mnisi, liczba mieszkańców, biorąc pod uwagę tylko tych, którzy do hierarchii duchownej należą, przekracza 5,000. Cała ta stała i przygodna ludność podzielona jest na stopnie, ze ściśle określonymi prawami i obowiązkami, z ustalonymi sposobami posuwania się na wyższe szczeble drabiny.

Wchodzi się do klasztoru w wieku jeszcze prawie dziecięcym i jest się na początek niczem innym, jak nowicyuszem. Już jednakże przy wejściu musi przyszy mnich złożyć śluby czystości i wstrzeźliwości, odprysiadz się od pijaństwa, kradzieży i mordu. Obowiązki, jakie takiego młodzieńca czekają, są oczywiście bardzo skromne i proste i redukują się do niższych posług: noszenia drzewa i herbaty, obmiatania świątyni i t. d. Po pewnym dopiero czasie nowicyusz osiąga pierwszy stopień kapłaństwa i przystępuje do studyów nad świętymi księgami. Ten pierwszy stopień nazywa się Getsul i dla osiągnięcia go należy zapłacić 20 rupii, wobec czego czas przedwstępnego nowicyatu trwa czasem 4 tygodnie, ale wobec niezamożności kandydata może się i do kilku lat przeciągnąć. Następnym stopniem, na trzy podstopnie rozdzielonym, jest Gelong i przy psuwaniu się na wyższe szczeble trzeba znowu wnieść opłaty sięgające do 300 rupii, co jest zresztą mniejszą już znacznie przeszkodą, bo Getsul, jako osoba duchowna, ma możliwość łatwiejszego zebrania między ludem potrzebnej mu sumy. Najwyższy z trzech podstopni Gelonga jest Kaczen i ten dopiero daje prawo do nauczania innych. Bezplatne natomiast są dwa najwyższe stopnie hierarchii zakonnej: Kanpo-lama i Jungczen, ale też takich jest w całym Taszy-lunpo zaledwie sześciu. Do muzyki kościelnej należy 240 mnichów, nie licząc 60 tancerzy, którzy zresztą występują tylko dwa razy na rok i tylko na te dwa występy otrzymują z szatni zakonnych swoje bogate ubiory; nic dziwnego, że wobec tak oszczędnego użycia, niektóre z tych ubiorów mają po paręset lat.

Każdy z mnichów bez względu na stopień otrzymuje rocznie 15 rupii i całkowite oczywiście utrzymanie. Mieszkają zaś na niższych stopniach po kilku razem, na wyższych zaś każdy w swojej własnej, oddzielnej celce. Z zewnętrznego wyglądu celki te coprawda raczej więzienie niż klasztor przypominają. Przy jednej ze ścian szcuplego pokoiku stoi łóżko z czerwonym materacem, poduszką i kołdrą filcową; poza tem mały ołtarzyk z posążkami bóstw i paląciami się przed nimi lampkami, trochę książek i ubranie i nieco żywności; ciemno, wilgoć i chłód. Tylko mieszkania najwyższych dostojników są urządzone z więk-

szym przepychem, jeżeli nie z większą wygodą.

Jedzenie roznoszą im trzy razy dziennie i tyleż razy herbatę, o czym każdorazowo uprzedza ze szczytu klasztoru głos trąby. Co do herbaty zresztą niema tak uroczystej ceremonii ani tak świętego zajęcia, przy których nie godziłoby się wypić filiżanki herbaty (z masłem), to też wszędzie i zawsze spotyka się roznoszących ją w wielkich naczyniach chłopców, a jeden z sześciu wielkich kotłów w kuchni klasztornej poświęcony jest specjalnie do gotowania tego ulubionego napoju. Jak jakieś niezziemskie zjawiska uwijają się przy nim ciągle kucharze, stojący w kłębach pary i dymu na wysokiem rusztowaniu drewnianem i mieszający we wnętrzu kotła łyżką wielkości dużego wiosła.

Promocye mnichów na stopień Kaczena odbywają się właśnie w czasie świąt noworocznych i mają charakter publicznej dysputy w obecności samego taszy-lamy. Na wysokim, żółtym jedwabiem pokrytym tronie zasiada taszy-lama w tym samym dziedzińcu, w którym Hedin po raz pierwszy przyglądał się uroczystościom klasztornym. Tron ustawiony jest u szczytu wspomnianych już jedenastu schodów kamiennych, u stóp których stają dwaj w czerwieni przybrani kandydaci. Jeden mówi coś wyraźnie i głośno, — jakąś świętą cytate zapewne — klaszcze w dłonie, aż się echo rozlega i wykonywa gest, jak gdyby coś chciał rzucić swojemu przeciwnikowi na głowę. Następuje taka sama odpowiedź i w ten sposób ciągnie się dysputa, do której taszy-lama dorzuca od czasu do czasu swoje słowo. W pewnym momencie niżsi braciszkwowie przynoszą na dziedziniec z nadzwyczajnym pośpiechem szereg stoliczków, na których rozstawiają naczynia z owocami i pieczywem. Przed samym taszy-lamą stają w zgiętej, kornej postawie dwaj lamowie, których obowiązkiem jest nalewać jego świętobliwości ze szczerozłotego naczynia herbaty. Dla reszty służyć muszą srebrne imbryki, ale trzeba pamiętać, że z takimi imbrykami przychodzi cała procesya i że jeden imbryk wart jest z górą czterysta rubli. Po skończonym posiłku stoliki uprzątają równie szybko, jak je przed chwilą przyniesiono i wszyscy zaczynają się znowu przysłuchiwać dyspucie, której zresztą nie przerywano ani na chwilę. Po trzech godzinach takiego nieruchomego siedzenia ze skrzyżowanymi nogami taszy-lama podnosi się i, wstępując wśród najgłębszego milczenia po dywanami wyłożonych schodach, niknie w głębi korytarzy klasztornych. Dopiero po jego wyjściu wybucha gwar głosów, młodszy wśród mnichów zaczynają biegać i bawić się, starsi śmieją się i dysputują.

Takich zresztą jeżeli nie uroczystości, to zwykłych nabożeństw i ceremonii kościelnych pełen

jest cały klasztor bez przerwy. Czasem o późnej już wieczornej godzinie wchodził Hedin do jakiejś wielkiej sali klasztornej, w której się odbywały modły. Zewnątrz było już całkiem ciemno i cicho, tylko od silnych podmuchów wiatru dźwięczały tysiącami głosami niezliczone dzwoneczki, porozwieszane na wszystkich załawkach i występkach murów klasztornych; każdy z nich ma przywiązane do swego serca piórko ptasie i od najbliższego podmuchu wiatru ściany zaczynają dźwięczeć i świegotać w sposób niewypowiedzianie dziwny i przejmujący, mieszając swój ton z łopotaniem długich, porozwieszanych w dziedzińcach chorągwi. Wnętrze sali jest słabo oświetlone długim rzędem płomyków, chwiejących się w lampkach, które palą się przed posągiem jakiegoś świętego. Na długich, czerwonych kobiercach siedzą mnisi w żółtych płaszczach, odmawiając coś w rodzaju litanii. Dołem od światła lampek połyskują, wynurzając się raz po raz z ciemności, złoczone lotosy na cokule posągu, ale góra jest zupełnie ciemna i wznoszące się pośrodku potężne słupy i kolumny giną gdzieś w jakiejś tajemniczej pomroce. Od czasu do czasu zrywa się dźwięczny gwar dzwoneczków, podkreślany niekiedy niskim i głębokim tonem trąb. Jeden z mnichów, jakby przewodnicząc w recytowaniu, powtarza ciągle z przelewającym się skandowaniem i z zawrotną szybkością święte frazesy: Om mani padme hum, inni wtórują mu wolniej i z tego rytmicznego rozgwaru wyłania się raz poraz, jak przeblask światła w ciemnościach, jakieś słowo mocniej akcentowane. Z rozlanego górą półmroku wynurza się uśmiechnięta twarz posągu, zapatrzona gdzieś nieruchomo w zaświaty, dołem przy słabym blasku latarni roznoszą nieuniknioną herbatę.

Wogóle te dwie rzeczy — śpiew i picie herbaty — zdają się być w Taszy-lunpo niemal że nie-

rozłączne, bo nawet w zwykły dzień można było spotkać gdzieś w kącie dziedzińca grupę siedzących na ziemi mnichów, pijących herbatę i zabawiających się rozmową, a jednocześnie recytujących od czasu do czasu jakiś solenny i mono-

tonny hymn, którego odgłos tłukł się dziwnie o zwarte zastępy murów.

Zwykli natomiast pielgrzymi wyrażają swój religijny zapał inaczej. Jednym z najbardziej używanych do tego sposobów jest obejście całego klasztoru, właściwie nie obejście tylko opelznięcie. Klęka się w tym celu na ziemi, pada na twarz i wyciąga ręce przed siebie, znacząc niemi dokoła palce dosięgły; później klęka się znowu na uczynionej kresce, znowu się pada i znak robi i t. d. Wymaga to, stosownie do sił i zakreślonego sobie rozmiaru od jednego do trzech dni czasu, a są tacy, którzy w ten sposób obchodzą klasztor po kilkakroć.

Inni, wygodniejsi, zadowolają się młyn-

kiem. Jest to wielkie koło z nawiniętym na nie paskiem papieru, na którym wydrukowane są modlitwy. Zakręca się raz, drugi kołem, pasek przewija się na walec i tysiące modlitw idzie w górę — do uszu bóstwa. Zresztą, żeby wiernym przypomnieć, że kręcenie koła nie wyczerpuje wszystkich obowiązków nabożności, koło młynków takich pełno jest zawsze żebraków, wyciągających rękę z miseczką i oczekujących jałmużny, choćby to miała być tylko przygarstka zboża.

Określić i dowiedzieć się o liczbie pielgrzymów, jaka Taszy-lunpo rocznie odwiedza, nie było żadnej możliwości. Na wszelkie w tym względzie zapytania otrzymywało się jedynie uśmiech, wrzucenie ramionami i zapewnienie, że tak wielkiej ilości policzyć nie można. Nie ulega wszakże wątpliwości, że liczba ta jest ogromna i również wielka jest suma darów przez nich składanych, a idących na utrzymanie klasztoru, który zresztą



TASZY-LAMA.

ma oprócz tego swoje ziemie, nie licząc dochodów ze sprzedaży świętych pamiątek.

To też bogactwa klasztoru są wielkie, a skarby w nim zawarte bezcenne, choć jego najwyższa głowa — taszy-lama żyje i mieszka osobiście tak skromnie. W kilka dni po pierwszej audyencji otrzymał Hedin zawiadomienie, że taszy-lama przyjmie go poraz drugi i że tym razem można będzie dokonać zdjęć fotograficznych, do których będzie chętnie pozował. Jakoż pomimo niezliczonego tłumu pielgrzymów, czekających na posłuchanie i błogosławieństwo, wpuszczono Hedina niebawem i w długiej, do półtrzeciej godziny trwającej rozmowie, miał szczęśliwy podróżnik znowu sposobność zbliżyć się do młodego arcykapłana, o którym z takim zachwytem i wzruszeniem wspomina. Jak uprzednio taszy-lama był pełen łaskowości i delikatnych względów, zasypując przytem cudzoziemca nieprzerwanym gradem pytań o obcy, nieznany mu świat. Bo wobec swoich niezliczonych i nieustających obowiązków arcykapłańskich, nie ma on niemal możności wydalicia się poza obręb świątyni i życie własnego nawet kraju i państwa pozostaje dla niego często w szczegółach przynajmniej nieznanne. Wypytywał się np. szczegółowo o igrzyska ludowe, których Hedin był świadkiem, ale których on nigdy nie widział, bo w tym właśnie dniu przypada jakaś ważna uroczystość kościelna, która go przykuwa do Taszulunpo. Dla tej samej także przyczyny nie może przyjąć uczynionej przez Hedina półżartem propozycji przyjechania do Szwecji, której zresztą jest bardzo ciekaw i którąby jak najchętniej obejrzał.

Podano tymczasem herbatę i zakąski, przy których rozmowa przybrała całkiem już poufny, z odłożeniem na bok wszelkiego dostojęstwa, charakter. A potem na znak taszy-lamy wniesiono dla Hedina podarki: były tam dwie sztuki szkarłatnego w Gyangtse tkanego sukna, było kilka kawałków złotem przetykanego sukna chińskiego i dwie czarki miedziane z srebrzonym brzegiem i złożony spodek do filiżanki. Ale największą cenę miał własnoręcznie przez taszy-lamę wręczony, obwinieły w żółty i czerwony jedwab paszątek siedzącego Buddy o niebieskich włosach, w koronie na głowie i z czarą w rękę, z której wykwiła jakaś roślina. Nazywało się Tsepamed i przedstawiało Buddę w postaci tego, który posiada nieskończenie długie życie. Otrzymany z rąk taszy-lamy, który sam jest wcieleniem Buddy, znaczył ten dar tyleż, co życzenie długiego i szczęśliwego życia i był w tem odcień jakiejś osobistej, niepozbawionej pewnego uczucia życzliwości. Ale to Hedin zrozumiał dopiero później, kiedy się w mitologię buddyizmu nieco lepiej zagłębił.

Najmniej niestety udały się fotografie. Na otrzymanych odbitkach uwieczniły się wprawdzie wiernie rysy dostojnego gospodarza, ale znikło z nich zupełnie to, co było jego indywidualnym czarem: szczery, jasny, niemal dziecięcy uśmiech. Okazało się zato, że jeden z młodych przybocznych lamów, będąc w Indyach z Panczen-Rinpoche, nauczył się sztuki fotografowania i że w Taszulunpo — w tybetańskim zaklętym klasztorze — jest nawet ciemnica fotograficzna.

(c. d. n.)

St. Th.



## O przebiegu pogody w miesiącu lipcu 1910 r.

(sprawozdanie wydziału meteorologicznego przy  
-- Polskiem Towarzystwie Krajoznawczem. --)

Pochmurny, nader dżdżysty i chłodny stan pogody, który wystąpił w dniach końcowych czerwca ubiegłego, przetrwał bez zmiany w ciągu większej części sprawozdawczego miesiąca. Temperatury popołudniowe niewiele tylko przekraczały 20°C. i dopiero w dniach końcowych lipca osiągały wyższe wartości. W porównaniu ze średnią temperaturą wieloletnią, która dla lipca w Królestwie waha się koło 18°C., średnie tegoroczne są niższe w przybliżeniu o półtora stopnia. Ten niedobór dość znaczny dla miesiąca letniego, wywołany został wyłącznym prawie panowaniem wiatrów z zachodu i północ-zachodu, rzadko tylko przerywanych suchymi podmuchami ze wschodu.

Silnemu zachmurzeniu odpowiadały także silne i ob-

fite deszcze, które w wysokim stopniu utrudniały prawidłowy sprzęt zbóż. — Zwłaszcza w ciągu pierwszej połowy lipca tegorocznego opady były codziennem niemal zjawiskiem. Niektóre dni oznaczały się niezwykle mi ulewami: w dn. 7 lipca zanotowano 45 mm. w Grodzisku, a w dn. 6 w Zatorach, w Pułtuskim, otrzymano 56 mm., w Kieleckim i w Radomskim silne opady wystąpiły także w czasie między 21 i 24 lipca. Na szczególne zaznaczenie zasługuje także gwałtowna burza z gradem, która przeszła w Lubelskiem w d. 23 sprawozdawczego miesiąca.

W sumie miesięcznej opady przenosiły przeważnie 100 mm., dochodząc w niektórych miejscowościach (np. w Siedleckim) nawet do 200 mm. za lipiec. Wogóle zaś rozkład opadów w lipcu 1910 r. wykazuje maksimum na południowschodzie Królestwa, przyczem minimum (z wysokością miesięczną poniżej 90 mm.) występuje zwłaszcza w powiatach kutnowskim i łęczyckim.

Dni dżdżystych w miesiącu sprawozdawczym było od 15 do 22 tj. prawie do  $\frac{3}{4}$  ogółu dni w miesiącu. Można wreszcie zauważyć, że przeciętne sumy opadów za lipiec, obliczone z lat kilkunastu, niewiele tylko przenoszą 60 mm. dla stacyi w Królestwie Polskiem.

#### Tabela meteorologiczna.

##### a) Temperatura:

Nowa Średnia miesięczna 17°,2; Max. 29°,0 (w dn. 23)  
 Słupia Min. 8°,9 (w dn. 20)

##### b) Opady:

Wysokość w milimetrach:	Suche-dniów	Bieliny	Św. Krzyż	Nowa Słupia
Liczba dni z opadem:	134	141	134	114
	17	16	17	16

□□□□□□□□□□

## Z piśmiennictwa.

Ostatni kilkakrotnie zwiększony zeszyt „Architekta” (za czerwiec, lipiec i sierpień r. b.) poświęcony jest całkowie sprawie Wielkiego Krakowa. Mamy więc tutaj powtórzone warunki konkursu, tak rozumnie i szeroko przeprowadzonego przez gminę miasta Krakowa, mamy szczegółowe, choć poniekąd w skróceniu podane objaśnienia autorów prac nagrodzonych, wyjaśniające przewodnie idee i drogi, któremi autorzy pragnęli dojść do zamierzonego celu; mamy dalej cenne uwagi redakcyi „Architekta” o bogatym plonie konkursu i gorące nawoływanie tejże redakcyi, żeby wcielić w życie projekt „5-ciu”, najlepszy i najszerzej pojęty—który też otrzymał na konkursie pierwszą nagrodę—choćby urzeczywistnienie tego projektu miało wymagać większych stosunkowo nakładów pieniężnych, które ze względu na przeszłość i przyszłość grodu królewskiego ponieść koniecznie należy; mamy wreszcie w tym zeszycie niezwykle bogaty dział ilustracyjny, zawierający oprócz rysunków w tekście, 11 tablic, z tych 6 podwójnych, świetnie odbitych, z planami i perspektywicznymi rysunkami. Plany te i rysunki malują Kraków, jakim go widzi w przyszłości wyobraźnia artystów, pragnących, aby nietylko nasz gród umiłowany stał się jednym z najpiękniejszych i najoryginalniejszych w świecie, ale żeby w tem dziele monumentalnem, zakrojonym na wielką miarę i na pracę kilku pokoleń, ujawniała się wiecznie żywa, a coraz wspanialej rozwijająca się twórcza dusza polska.

K. R.

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

† D. 20 czerwca r. b. otwarte zostało w Suwałkach Muzeum Ziemi Suwałskiej, powstające pod egidą oddziału P. T. Kr., a mieszczące się tymczasem w lokalu szkoły handlowej. Na skutek odezwy rozestanej do kilkudziesięciu malarzy i rzeźbiarzy polskich, nadesłał p. A. J. Strzałęcki z Warszawy dla no-

wopowstałej instytucyi iście królewski dar, mianowicie szablę Zygmunta III z napisami, szablę zdobytą pod Wiedniem, ryngraf z XVIII w., szkaplerz miedziany z pod fundamentów kościoła św. Piotra i Pawła w Warszawie, pas słucki jedwabny i odlewy medalów królów polskich, nadto zaś obiecał nadesłać dwa oryginały olejne. Oprócz ciekawych okazów z dziedziny przemysłu i przyrody posiada muzeum cenne druki, jak kronikę Miechowską z 1521 r., druki suwalskie i in.

◆ ◆ ◆

† Dr. Franciszek Fronczak, lekarz miejski w Buffalo, przybyły z siedmiu innymi delegatami kolonii polskich w Ameryce Północnej na uroczystości grunwaldzkie do Krakowa, w rozmowie ze współpracownikiem lwowskiego Dziennika Polskiego podaje następujące szczegóły o kolonii buffalowskiej:

— „Buffalo o 450 mil angielskich od Nowego Jorku a więc na odległość całej Galicyi, liczy obecnie 500,000 mieszkańców, w czem do 100,000 Polaków. Jest to miasto, gdzie Polacy — w całej Ameryce — najgęściej są obok siebie skupieni i zamieszkali. Mamy tu cały rynek polski z ratuszem, na wzór krakowskich Sukiennic, rynek—pełen polskich naszych przekupek...

— Jakie były początki Buffalo?

— W r. 1832 zostało miastem i liczyło 20,000 mieszkańców. Wzrosło kolosalnie przez swe korzystne położenie w pobliżu jeziora Erie, gdzie ogniskują się wszystkie linie kolejowe, idące ze wschodnich stanów do zachodnich. Przechodzi tędy 10 pociągów dziennie. Dlatego też zwą Buffalo „bramą do zachodu”.

— Jak się przedstawia Polonia buffalowska i jej stan posiadania?

— Dwanaście parafii naprzód i dwanaście szkół polskich przy nich, a z nich największa przy kościele św. Stanisława, dla 2,000 dzieci; proboszczem jest tu obecnie ks. Pitaj. Dzienników mamy dwa, a to „Polaka w Ameryce” z nakładem 14,000 i „Dziennik dla wszystkich” z nakładem 12,000 egzemplarzy. Pisma to bardzo poważne. Jest dalej 800 sklepów polskich, ogromny browar Schreibera, cenzora „Związku narodowego polskiego”. Wogóle tworzą polacy jedną ósmą część ogółu wyborców w Buffalo, wobec czego mają poważny głos we wszystkim. Do sejmu stanu Nowy Jork należy wybrany z Buffalo Polak, p. Jakób Rożan. Bibliotek własnych mamy 7 i 10 czytelni, liczących po parę tysięcy tomów. (Biblioteka m. Buffalo liczy 800,000 tomów), dalej „Dom polski” z salą na 2,000 osób. Polskich Towarzystw jest z Buffalo ogółem 160, cała Polonia jednak, mimo różnic politycznych, żyje w przykładnej zgodzie. Dowodem tego był w dn. 17 lipca obchód grunwaldzki w Buffalo, który złączył wszystkie organizacje i stronnictwa, a zgromadził kilkanaście tysięcy ludzi przy obchodzie i w pochodzie. W tym dniu zainicyowano założenie w Buffalo wyższej szkoły polskiej; profesorowie przybędą częściowo z Europy, częściowo będą miejscowi. Gmachu osobnego na razie budować nie zamierzamy, tylko przy jednej z istniejących szkół będziemy stopniowo stwarzali kursy do kursie. Nie chodzi nam o zewnętrzne oznaki „szkoły wyższej”, lecz tylko o samą naukę wyższą. A tej potrze-

ba w Buffalo; w promieniu 40 klm. jest tu kilkanaście osad polskich, miast i miasteczek, gdzie mieszka do 150,000 ludności polskiej.

— Czy żywioł polski wybija się na wierzch publicznego życia Buffalo?

— Niezmiernie; wszelkie np. cyrkularze, obwieszczenia i t. p., wychodzą z biura fizykatu także w języku polskim. Tak też przybija się je na miejscach publicznych, na rogach ulic i t. p. To też wszędzie się widzi polskie napisy na domach; „Tu panuje ospa”. „Tu panuje płonica”. „Kąpiele i łaźienki miejskie”. Polaków jest mnóstwo po biurach, sądach i tak dalej. W Nlagara-Fals istnieje już od dziesięciu lat bardzo piękna osada polska, gdzie proboszczem jest ks. Michał Dymiński, pochodzący z okolic Lwowa.

Niedaleko Buffalo jest wielki sierociniec dla 800 dzieci polskich, pod pieczę SS. Felicjanek, jest on przeznaczony tylko dla wschodnich prowincji Stanów. Dla zachodnich istnieją podobne sierocinice w Detroit (stan Michigan), w Elmhurst (stan Pensylwania), w Chicago (stan Illinois), w Milwaukee i w Polonia (stan Wisconsin). Wszystko to ofiarami Polaków amerykańskich.

— Jak przedstawia się stan ekonomiczny Polaków w Buffalo?

— Mamy spółki oszczędnościowe, banki kupieckie w których radach nadzorczych i dyrekcjach zasiadają Polacy. Należę sam w tym charakterze do dwóch instytucji, należy p. Lipowicz, właściciel hurtowego składu korzennego, obracającego milionami dolarów. Dalej mamy wielki skład paszy i młyn p. Nowaka.

— Jak doszli ci ludzie do takich majątków?

— Zaczynali z niczem, tylko przy własnej ciężkiej i zapobiegliwej pracy doprowadzili do tak imponujących rezultatów. Gdyby ludzie — pookreśla dr. Fronczak — tak samo ciężko i energicznie i z tą samą wytrwałością pracowali w Europie, jak my w Ameryce pracujemy, dochodziliby do tych samych wyników. Ludność polska w Ameryce, to jest ten polski, niedoświadczony, nieobrotny chłop lub rzemieślnik z małego miasteczka, który z przyczyn ekonomicznych lub narodowych wyjechał do Ameryki i tam rzucony w ten wir życia natężonego w krótkim czasie poznał tendencję Amerykanina i sam nabrał tych czysto amerykańskich cech, jak rzutkość, spryt, wytrwałość, które — połączone razem z polskimi cnotami, jak oszczędność i uczciwość, wytworzyły nowy typ Amerykanina-Polaka, ceniony wysoko przez tubylców. Po 10 latach ten biedny chłop swoją zapobiegliwością i pracą zostaje właścicielem domku, ubiera się przyzwoicie, jest członkiem Towarzystw, a co najważniejsze, zostaje dobrym Polakiem, gdyż w Ameryce dopiero przeciętny chłop polski uświadamia się narodo-

wo; tam dowiaduje się o naszej historii, dowiaduje się że nie jest ani „Austryjok”, ani „Prusok”, ani „z pod Rosy” — lecz, że jest Polakiem. I lud ten nie zginął dla Ojczyzny; wytworzył ogólnie już znaną czwartą dzielnicę Polski. A ludność tej nowej dzielnicy, nie zważając na różnice klasowe, ani stanowe, pracuje dla dobra swych rodzin, społeczeństwa polskiego i kraju, który użył jej gościnnej przyjęcia i ochrony.

+ Między 21 czerwca, a 11 lipca grono młodzieży w liczbie 8-miu, przeważnie ze szkoły Chranowskiego, pod przewodnictwem Zd. Ig. Boskiego odbyło pod protektoratem Pol. Tow. Krajoznawczego dłuższą, bo 19-dniową wycieczkę po kraju. Wyruszyli oni ze stacyi Poraj drogi warszawsko-wiedeńskiej i idąc pieszo przez Olsztyn, Złoty Potok, mniej znany Mirów i Bobolice, Włodowice, Zawiercie, Siewierz i Kromolów, zwiedzili stare zamczysko w Morsku, słynny okiennik w Skarżycach, przepiękny Ogrodzieniec, Giebło, Pilicę i Smoleń, a następnie udali się na Wolbrom, Olkusz, Raclawice Olkuskie, gdzie odnaleźli w kościele średniowieczne malowidła z datą 1473, Łazy i Bentkowice i przybyli do Ojcowa, skąd po dwudniowym pobycie na Iwanowice, Słomniki, Prandocin i Muniakowice przyszedli do Raclawic Miechowskich; zwiedzili Skalbmierz i przedhistoryczne okopy w Stradowie, obejrzeli nietknięty zębem czasu dwór szlachecki w Rogowie, Wiślicę, dwór w Zagości, groty w Skorocicach, pole bitwy pod Grochowiskami, wreszcie przez Pińczów i Imielno przywędrowali do Jędrzejewa, a następnie zwiedzili Chęciny stanęli u kresu podróży w Kielcach.

Na przestrzeni 300 kilkudziesięciu wiorst wszędzie gościnnie przyjmowani młodzi wycieczkowicze proszą o złożenie za naszym pośrednictwem podziękowania szczególniej członkom oddziału Tow. Kraj. w Zawierciu panom Makowskiemu i Kowalewskiemu, posłowej Żukowskiej z Łaz, państwu Boskim z Kobieli, a także włościaninowi Marchewce z Muniakowic, państwu Bukowskiemu, Zakrzewskiemu i panu Koszutskiemu.

## NADESŁANE.

SZKŁO, PORCELANĘ, FAJANSY i t. p.

□ poleca: PIERZCHALSKI, Szpitalna 5. □

**TREŚĆ:** „Zygmunt Gloger” (illustr. port.); Cz. Statkiewicz. — „Idee przewodnie antropogeografii” c. d.; Dr. Al. Macieszka. — „Zasady organizacji muzeów krajoznawczych”; Ludwik Krzywicki — „Ligawki żmudzkie” (z 1 ilustr.); Gustaw Manteuffel. — „O zamkach polsko-inflanckich” (z 2 ilustr.) c. d.; St. Th. — „Sven Hedin w Tybecie” c. d. (z 2 ilustr.); „Meteorologia”; Z piśmiennictwa. Kronika Krajoznawcza.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki — Składał i mała Wacław Domański — Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński. — Klisze wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki — Papier krajowy z fabryki A. Mossa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.